



AMBIENCE

Takie słówko. Znaczy dosłownie tyle co atmosfera, nastrój. Wrócimy do niego...

I teraz tak – słyszymy – gra jakiś zespół, najlepiej na żywo. Podobają się. Wszystko na swoim miejscu. Muzyka „wchodzi” niejako niepostrzeżenie. A czasem jest tak, że „na pierwszy rzut ucha” wszystko się zgadza, chłopcy wymiatają jak trzeba, a coś nie zażera i uporczywie przeszkadza... I zastanawiamy się, o co chodzi? Dlaczego? Zjawiska takie można zaobserwować praktycznie w każdym gatunku.

Przyczyn oczywiście może być sporo. Chciałbym się jednak skoncentrować na jednej z nich – kto wie, czy nie najważniejszej. *Conditio sine qua non* zupełnie spokojnie rzec można. W moim głębokim przekonaniu jest to brzmienie. Trzeba po prostu zwracać na nie uwagę i statu nascendi – ot, truizm. Permanentnie, żeby stało się to intuicyjne.

Po prostu trzeba mieć wizję. I nie chodzi tylko o instrument, na którym się gra, bo to oczywiste. Główna sprawa jest w koncepcji brzmienia zespołu. Wydaje mi się, że współcześnie muzycy poświęcają zbyt mało uwagi temu kluczowemu zagadnieniu.

Winę za to ponosi rozwój cywilizacji, z ukierunkowaniem w tym konkretnym przypadku na wszelkiego rodzaju amplifikację z wszystkimi jej konsekwencjami, takimi jak mikrofony, wzmacniacze, przetworniki, pogłosy, miksery, odsłuchy itp. Później – nagranie z całym dalszym ciągiem.

A to wcale nie o to chodzi. Po prostu cały czas wszystko jest w rękach muzyków i koniec. Dziś jest

wiele elementów składowych i wina się rozkłada. Jedni zwalają na drugich. A to, że akustyk źle nagłośnił, że były złe odsłuchy, że na próbie było inaczej, a jak weszli ludzie, to się zmieniło. Albo że zła sala, że za duży pogłos. „Wszystko w rękach muzyków” znaczy, że po prostu trzeba się mikсовать. Zespół musi brzmieć. Zasada ta obowiązuje przecież od początku dziejów muzyki...

Często nie mówi się o tym wcale. Lider ma wizję, do której dąży, robi się próby, gra koncerty i sprawdza różne warianty. Czasem po prostu angażuje się muzyka, który pasuje do jakiegoś absolutu. Można też kombinować ze sprzętem, co dziś w zelektryfikowanych czasach ma uzasadnienie. I to, niestety, nie jest tak, że realizator dźwięku robi brzmienie – dawniej mówiło się – potencjometrami. Teraz to nie wiem czym, chyba drapiąc myszą po monitorze...

Wiadomo, że to temat na kilka doktoratów... Ja w zasadzie tylko sygnalizuję sprawę. Pewnie jeszcze nieraz do niej wrócę.

Wracając do meritum, powiem, że często, z uporem maniaka, powtarzam to moim studentom – mikśujcie się. Bez względu na warunki. Proporcje między instrumentami muszą być zawsze prawidłowe. Słuchacza nie interesuje, że coś tam było nie tak... Ma być dobrze i tyle. Jeszcze dziś, przy takiej podaży... Higiena ucha istotna jest także na próbach. Jak ma się to stać intuicyjne, to musi obowiązywać cały czas i bez żadnych wyjątków. Po prostu wtedy się przyjemnie gra i nie boli...

Przyglądając się bliżej temu wszystkiemu, wchodzimy w takie przestrzenie jak na przykład kształtowanie barwy. Każdy przecież wie, że to jest możliwe, jeśli ma się pełną kontrolę nad dynamiką. Wtedy jest prawdziwa zabawa. Można kombinować ciszej, głośniejszej i wszystko słychać. Mało tego, reagują na to koledzy i dopiero jest radość wspólnego muzykowania. A nie hałas i morderstwo.

I jak się wejdzie z taką świadomością do studia, to sama przyjemność... Można niemal wszystko nagrać na dwa mikrofony (żeby było stereo)... I realizator wtedy dopiero może pokazać swój kunszt. Może być kreatywnym członkiem zespołu, a nie kimś, kto ukrywa błędy.

A teraz po co ten tytułowy *ambience*? Ma on jeszcze „nasze”, muzyczne znaczenie. W technice nagraniowej określa się tak sygnał nagrywany (na mikrofon) nie bezpośrednio z instrumentu, lecz z pewnego oddalenia, stąd atmosfera i nastrój. Sygnał ten dodaje ciepła i – co chyba najważniejsze – oddaje naturalne cechy akustyki pomieszczenia, w którym się nagrywa, czyli *genius loci* (sic!) A gdy w jednym pomieszczeniu gra kilka instrumentów, na *ambience* składa się wypadkowa ich brzmienia i z tego po wodu tak istotne jest mikśowanie się między sobą.

I potem możemy się dziwować ad mortem defecatom, dlaczego *Kind Of Blue* tak brzmi. Tam poza genialnymi nutami jest jeszcze *ambience*. Koniec.

Mariusz Bogdanowicz

Na stronie www.mariuszbogdanowicz.pl znajdziecie archiwum felietonów Mariusza Bogdanowicza opublikowanych do tej pory na łamach *TopGuitar*.